

Figa z sensem i makiem

Marta Cuber



A kto powiedział, że literatura ma być o czymś? Że powinna mrugać do czytelnika pojednawco sensem? Dawać się rozkładać jak pomidor albo rozłupywać jak orzech i legitymizować środkiem? Owszem, nie ma paragrafu zobowiązującego literaturę do utylizacji rzeczywistości, a jeśli tak, to – paradoksalnie – stoi ona bliżej życia, zagadując zaważanie wstającego z łóżka, odchylającego kołdrę, parzącego pierwszą kawę. Albo, prościej, wpasowując się w pytanie, które słyszymy wraz z dźwiękiem budzika: czy to, że budzę się, ma sens? Co znaczy to, co robię? Jestem skłonna upierać się, że proza (poezja ma sens nawet wtedy, kiedy go nie ma), która kulminuje jasnym i rzetelnym przesłaniem, wymyka się realnemu, pozostaje nie-referencjalna, albowiem przyszywa życiu tezę, którego ono nie posiada. Żeby być bliżej egzystencji, literatura powinna być kwestią przyzwyczajenia, a więc strategią z formą i treścią, ale bez sensu.

Mimo całego dobra, jakie oferuje literatura „bezwartościowa” (?), „bezsensowna” (?), życiowa po prostu, rządzi nią pewien stereotyp: przekonanie, że bliżej życia jest zawsze kobieta. A jeśli tak, to nie ma ona autora, tylko autorkę. Nie pilnuję przyrostu takiej literatury na Zachodzie, wszelako wiem,

że w Polsce odnalazła się na przykład w *Lustrze* Ewy Schilling, zbiorku rewoltującym społeczne przeświadczenie o homoseksualności, ale i promującym zwykłość. Między prozą olsztyńskiej pisarki a opowiadaniem Joanny Szczepkowskiej z tomu *Fragmenty z życia lustra* istnieje oczywiście przepaść, pierwsze starają się o kulturową legalizację lesbianizmu, drugie udają, że zgrzyt emancypacyjny mamy za sobą, ale obie te książki rozpisują codzienność na obrazy, przenoszą czytelnika – zwłaszcza Schilling – raz do galerii sztuki współczesnej, innym razem do desy, no i jak ognia unikają oceny; poza stwierdzenie oczywistości, że zostały sprawne napisane, wyjść często trudno.

Szczepkowska uniknęła upadku, który, moim zdaniem, okaleczył najnowszą powieść Pilcha, *Miasto utrapienia*: nie poluzowała konturów narracji, nie rozmyła jej w retoryce felietonu. Inna rzecz, że zbiór opowiadań nie potrzebuje długiego i głębokiego oddechu, pilnuje się go z antraktami, rygoru ustępują odpoczynkom; słowem (przez które nie chcę powiedzieć, że krótkie narracje łatwiej pisać od długich), mikronarracja wytrzymuje towarzystwo felietonu, powieści, o czym przekonał mnie Pilch, nie. Właściwie nie wspominałabym o powinowactwach przekornej, podmiotowej i żurnalistycznej wypowiedzi z prozą, ale przypadek *Miasta utrapienia* zakał mi uwierzyć, iż pisać felietonu i powieści jedną ręką się nie da.

Okazuje się jednak, że, owszem, można, nie zdradzając przy tym, że uprawia się równocześnie różne typy literatury. Oczywiście, rozumiem, że literatura jest sprawą wyboru, nie akceptuję jej jednak, kiedy bywa

kwestią wykluczenia. A ono właśnie jest kategorią regulującą świat opowiadań Szczepkowskiej; są przekornie arystokratyczne, a oznacza to, że promują jakiś nowy model arystokracji w literaturze. To bodaj jedyna właściwość tego zbioru, lekko odstająca od zwyczajności treści, ale i nadająca jej kontury kastowości. A może to ja się mylę, może genetyk, malarka, psychiatra i jasnowidz są takimi samymi pariasami jak sklepowa i sprzątaczką? Zwłaszcza że – poza faktem obiecująco prominentnego stanowiska – prowadzą bardzo zwyczajne życie. No, może poza psychiatrą i jasnowidzem. Można by powiedzieć: traf i magia czuwają nad ich egzystencją. Zresztą, nie tylko nad nimi, tajemnica pilnuje tu każdego. Alergia na ptaki, długo tajona, dystansuje Pawła od Piotra; myślowa relacja jasnowidza z pacjentką daje efekt ciąży, która szokuje ojca; sztuka o niepojętych źródłach prowadzi Katarzynę Wołek na drogę Anny Kareniny.

Magia, traf i tajemnica to jednak przede wszystkim osłony tego świata przed sensem; nieweryfikowalny, nie prowadzi fabuły ku rozwidlającemu się przesłaniu. Inna rzecz, że sens w tych tekstach istnieje na prawach firany powieszona na drutach, jest obietnicą: spodziewamy się, że podróż psychiatry do zrujnowanego szpitala psychiatrycznego przyniesie oczywisty skutek, a powrót genetyka do Polski znajdzie przełożenie w jego życiu. Tymczasem Szczepkowska powiada wprost: nie, tego w mojej literaturze nie znajdziesz, nie będę udawała, że życie ma sens, skoro go nie ma. Są tylko pozór i przyzwyczajenie: że kroki bohaterów bywają odmierzone w rytm jakiejś wartości i że literatura ma ją referować. Literatura ma być równie zwyczajna co lustro: podarowane przez matkę, wyniesione podczas choroby męża, zdawkowo odbijające księżyc i fotografię. Jej sens znaczy tyle, ile odbicie – jeśli go nie ma, będzie puste.

Joanna Szczepkowska
FRAGMENTY Z ŻYCIA LUSTRA

Kraków : Wydaw. Literackie, 2004. – 235 s. ;
20 cm
821.162.1-3